

10 lat fundacji Jandy

– Wysłałam do widzów: „Bardzo przepraszam, przyjechała spóźniona betoniarka, musimy wyładować beton, bo zastygnie”. Czekali, oglądając wyładunek betonu do wielkiej dziury, nad którą miała być duża scena – opowiada Krystyna Janda

Dorota Wyżyńska

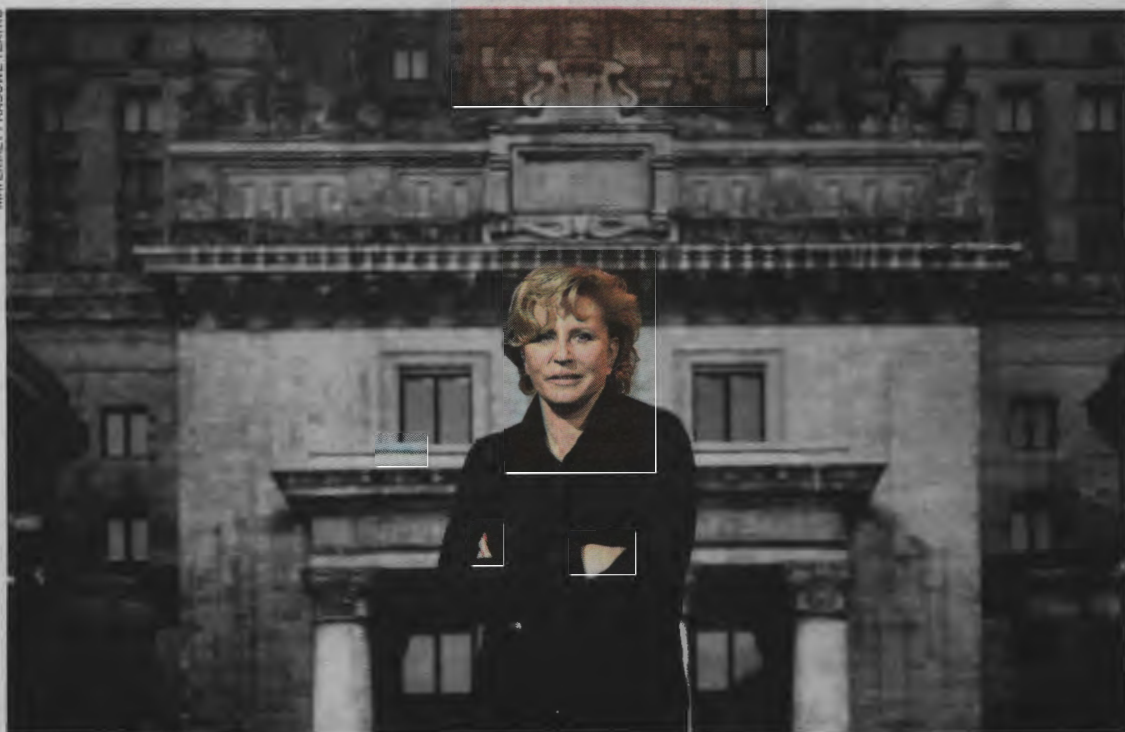
– Nie żałuję ani jednej minuty i ani jednego smutku – dodaje aktorka. 10 lat temu powstała Fundacja Krystyny Jandy na Rzecz Kultury.

W plebiscycie „Gazety Wyborczej” i telewizji TVN została właśnie wybrana „Człowiekiem Wolności” w kategorii Kultura. Wybitna aktorka teatralna i filmowa, reżyserka w tym tygodniu świętuje jubileusz 25-lecia wolnej Polski, ale też 10-lecie swojej fundacji.

ROZMOWA Z Krystyną Jandą aktorką, reżyserką, prezesem Fundacji Krystyny Jandy na Rzecz Kultury

DOROTA WYŻYŃSKA: 10 lat temu powstała Fundacja Krystyny Jandy na Rzecz Kultury. 10 lat temu podjęła pani niełatwą decyzję, żeby kupić budynek po dawnym kinie Polonia i stworzyć prywatny teatr. Pamiętam pierwszy artykuł na ten temat w naszej gazecie i mnóstwo pozytywnych, życzliwych komentarzy pod nim. Czytelnicy, pani widzowie od początku bardzo panią wspierali. To dodawało siły? Jakże emocje wtedy pani towarzyszyły?

KRYSZYNA JANDA: Proszę mi wybaczyć, że skoryguję kolejność. Kiedy 10 lat temu założyłam Fundację na Rzecz Kultury, razem z moim mężem Edwardem Klozińskim i córką Marią Seweryn nie mieliśmy jeszcze sprecyzowanych planów. Namówiłam ich na to, a teatr tylko majaczył w tle. Zaczęliśmy szukać sali po pół roku, w rezultacie Polonię kupiliśmy prawie rok później. Jeśli chodzi o komentarze, pamiętam oczywiście życzliwość „Wyborczej” i życzliwość części ludzi z mojego środowiska, ale opinie i prognozy były różne, ja pamiętam także dość bolesne, a częste, choćby te o mojej megalomanii. No i te lekceważące w tonie. Publiczność rzeczywiście od początku była z nami. I na szczęście jest. A kiedy dziś wspominam nasze nastro-



Krystyna Janda w spektaklu „Biała Bluzka”, który od kilku sezonów gra na scenie Och-Teatru

– Mój mąż mówił: „Co? Pękasz w szwach?”. Dzięki Bogu miałam zbyt ubogą wyobraźnię, jeszcze nie wiedziałam, co nas czeka. Męża uspokoiła budowa, mnie pierwsze próby, Marysia patrzyła na wszystko z ciekawością i entuzjazmem

je z tych początków, na nowo czuję duszącą „mokłą szmatę” w gardle i moja dobra minę do gry, która budziła lęk.

Pamiętam, że w tym czasie mój mąż mówił do mnie: „Co? Pękasz w szwach?”.

Dzięki Bogu miałam zbyt ubogą wyobraźnię, jeszcze nie wiedziałam, co nas czeka. Męża uspokoiła budowa, mnie pierwsze próby. Marysia patrzyła na wszystko z ciekawością i entuzjazmem. Pamiętam wywiad, który robiłam z panią przed premierą „Ucho, gardło, nóż”. Trwała budowa teatru, nie miała pani chwili spokoju, udało się znaleźć pół godziny na rozmowę, ale w samochodzie. Jeździła pani po mieście, załatwiając rozmaite sprawy związane z remontem teatru.

– Szalony czas. Zwariowany. Dziś często staję przed toną papierów, pism, dokumentów, które zgromadziły się przez te 10 lat, nie mogę uwierzyć, że w tym pierwszym okresie, dość długim zresztą, z większością tych papierków jechałam sama. Zresztą dokonywałam cudów, w godzinę – zgoda na wjazd betoniarki do Śródmieścia? Wyczyn. Znale-

zienie w Polsce betoniarki z tzw. małą beczką, bo większa nie mogła przejechać pod bramą, a wspólnota mieszkaniowa nie pozwalała mi zmienić bramy na otwieraną także na górę. Znalazłam.

Albo moje wyjścia przed publiczność: „Bardzo państwu przepraszam, przyjechała spóźniona betoniarka, musimy wyładować beton, bo zastygnie. Będzie to trwało około 40 minut. Proszę wybaczyć i poczekać”. Czekali, oglądając wyładunek betonu do wielkiej dziury, nad którą miała być duża scena. Po 40 minutach oni siadali w miejscach, a ja wychodziłam na scenę. Super. Aktorzy, którzy mieli przebiórki na zimnej budowie z nogami więzniczymi w zastygającym betonie, wbiegający na scenę po chybotliwej desce.

A „Ucho, gardło, nóż” gram do dziś. Dziesiątki historii. Setki. Dziś się śmiejemy i często wspominaliśmy.

Dziś trudno sobie wyobrazić mapę teatralną Warszawy bez pani dwóch teatrów. To pani pierwsza przekonała widzów, że prywatny teatr nie musi grać tylko komercji. Że można pokazywać tu projekty ambitne, oparte na trudnych, ryzykownych tekstach.

– No cóż, nawet się nad tym nie zastanawiałam. Robiliśmy taki teatr, w jakim grałam 30 lat. I uczyłam się. Dopiero potem, długo potem, zaczęłam się uczyć, co to EBITDA i jak ją mieć. Dziś wiem dużo. A projektami klebiącymi się w mojej głowie, sztukami, które przeczytałam i już wyobraziłam sobie na scenie, mogłabym obdzielić jeszcze innych. Tyle że teraz „biorę na uspokojenie” i robimy to, o czym marzymy, ale co także jest w naszym zasięgu.

Teatr Polonia i Och-Teatr nie mają stałych zespołów aktorskich, co – domyślam się – może być dużym utrudnieniem przy planowaniu repertuaru, a jednocześnie jest przecież słą. Na obu scenach pojawiają się coraz to nowi ważni, ciekawi aktorzy. Kto u pani nie grał? Z teatrami przez te kilka sezonów współpracowało aż 800 osób?

– O tak! To nasza radość. Aktorzy, scenografowie, kostiumolodzy, reżyserzy, kompozytorzy, ludzie z całej Polski. Tylko teraz mam przy obsadzeniu i zapraszaniu do współpracy większy lęk niż na początku, bo przez moją liczbę zajęć i częste granie nie znam tak dobrze nowych, młodych artystów, a tylko słyszeć o nich – nie wystarczy.

Ale wracając do pani pytania, ułożenie repertuaru z naszymi aktorami graniczy z cudem. Jesteśmy ostatni w kolejce po ich teatrach macierzystych, filmach, serialach, zobowiązaniach. Wielu tytułów nie gramy miesiącami. Ale lubią tu być i grać, to najważniejsze.

A dla pani jako aktorki, jakie były trzy najważniejsze chwile na scenie przez te ostatnie 10 lat?

– Och, jak trudne pytanie! Przede wszystkim nie umiem już chyba oddzielić siebie aktorki od wszystkiego, co jest fundacją. Premiera właśnie „Ucha...”, spektakl „Boska” pięć godzin po śmierci mojego męża, pierwsza „Shirley Valentine” w Teatrze Polonia, szybkie zastępstwo za chorą Olę Konieczną w „Wątpliwości”, żeby ratować spektakl. Premiera „Wassy Żelazkowej” na otwarciu Och-Teatru. Nie wiem... wszystkie premiery, przede wszystkim te, w których nie biorę udziału. Zważywszy, że nie mamy marginesu finansowego na kłapę czy choćby pomyłkę, wszystkie wieczory premierowe są ważne. Czego życzy pani swojej fundacji z okazji jubileuszu?

– Żeby trwała, żebyśmy mogli się mylić, ryzykować, być bardziej swobodni w decyzjach artystycznych. Żebyśmy codziennie, w weekendy najczęściej cztery spektakle i 100 spektakli rocznie na wyjeździe, miała poczucie satysfakcji i dalej uważała, że to „upojne” i ciekawe życie, żeby wciąż byli z nami. Emocje są najważniejsze. Niech nie opadają. To nie fabryka ani rutynowe zajęcia. I... chciałabym bardzo, bardzo wszystkim podziękować. Nie żałuję ani jednej minuty i ani jednego smutku. ●